Mack Reynolds

Potencjalny wróg

(Potential Enemy)

Orbit Science Fiction, No. 2
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Potential Enemy" by Dallas McCord Reynolds (Mack Reynolds), first publication in Orbit Science Fiction, No. 2, published by Project Gutenberg, October 6, 2012 [EBook #40954]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Orbit volume 1 number 2, 1953. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Aleksander Wielki rozpoczynając najazd na Imperium Perskie, nie marzył o Indiach, ani nawet o Egipcie. Nie była to kwestia typowej chłopskiej zaborczości: „Nie jestem egoistą, chcę tylko ziemi, która leży koło mojej". Po prostu po odzyskaniu z rąk Dariusza greckich miast w Azji Mniejszej, nie mógł już się zatrzymać. Nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie silnych sąsiadów, którzy mogliby zagrozić w przyszłości jego dziedzinom. A więc zajął Egipt i wschodnie satrapie, a potem musiał wyruszyć do Indii. Tam dowiedział się o potędze Chin, ale powstrzymał go bunt armii i zmuszony został do powrotu do Babilonu. Zmarł tam, kiedy przygotowywał plany ataku na Arabię, Kartaginę, Rzym. Widzicie, przy swoim militarnym sposobie myślenia, nie mógł pozwolić na istnienie na granicach silnych sąsiadów. Pewnego dnia mogliby przecież stać się jego wrogami.

Aleksander nie był pierwszym, który stanął przed tym problemem, ani również ostatnim. Podobnie było później z Rzymem, i jeszcze później z Napoleonem, i jeszcze później z Aryjczykiem Adolfem, i jeszcze później…

Podróże bynajmniej nie poszerzają horyzontów, nie są stymulujące, ani pouczające. A przynajmniej, nie same podróże, jako takie. Zwiedzanie nowych miast, nowych krajów, nowych kontynentów, czy też nowych planet – tak. Ale sama podróż jako taka, nie. Niezależnie od tego czy odbywa się przy wykorzystaniu środków znanych w dwudziestym wieku – samochodu, autobusu, pociągu lub samolotu – czy też przy użyciu statków kosmicznych, podróż, to po prostu jedna wielka nuda.

Och, to jest nawet interesujące przez, powiedzmy pierwszych parę godzin. Wygląda się za okno samochodu, autobusu, pociągu, czy samolotu pasażerskiego, albo też za burtę statku, i to ze sporym entuzjazmem. Ale po tym pierwszym okresie fascynacji, podróż staje się nudna, monotonna i jednostajna aż do granic ostateczności.

Tak samo również jest i w kosmosie.

Markham Gray, dziennikarz, wolny strzelec, więcej lat niż sam byłby skłonny to przyznać, spędził w drodze. Obecnie leciał między satelitą Neptuna, Trytonem, i swoją ojczystą planetą, Ziemią, panią Układu Słonecznego. Był na tyle doświadczonym podróżnikiem kosmicznym, żeby zabezpieczyć się przed monotonią, przy pomocy kart i książek, rozwiązując problemy szachowe i słuchając szpul z taśmami, a nawet próbując napisać artykuł dla Spacetraveler Digest, o odległej ziemskiej bazie, z której właśnie wracał.

Kiedy wszystko to go zawodziło, czasami spędzał jakieś pół godziny na gapieniu się w ekran wizyjny, zajmujący znaczący fragment jednej ze ścian salonu.

Jeżeli ktoś nie miał tak żywej wyobraźni, jaka pomimo upływu lat nadal towarzyszyła Markhamowi Grayowi, to pięć minut tej fascynującej czynności na raz, było dawką aż nadto wystarczającą. Z rzadkimi

wyjątkami obraz na ekranie zdawał się być niemalże nieruchomy; atłasowa czerń, usiana szpileczkami jasnych światełek, nieruchomych, niezmiennych.

Ale nawet Markham Gray, pomimo swej zdolności do snucia marzeń i dostrzegania rzeczy ukrytych gdzieś w szczegółach tła, po trzydziestu minutach wpatrywania się w nieskończone głębiny kosmosu, stwierdzał że aż skręca się z nudy. Żałował, że na pokładzie nie ma większej liczby pasażerów. Kilku biznesmenów, wraz z żonami i dziećmi, jakoś nie wzbudziło w nim cieplejszych uczuć i robił wszystko co mógł, żeby ich unikać. Gdyby tylko spotkał tu, choćby jednego dobrego szachistę…

Przez salon przechodził właśnie drugi pilot, Bormann. Skinął głową dystyngowanemu starszemu pasażerowi, szybko i profesjonalnie przebiegł wzrokiem przez ekran wizyjny i miał już właśnie ruszyć dalej.

Gray zawołał na niego leniwie:

— Hans, myślałem, że patrole kosmiczne bardzo rzadko się tu zapuszczają.

— Praktycznie nigdy, proszę pana — odparł uprzejmie nagabnięty, wahając się przez chwilę.

Ważną częścią jego pracy była nieustanna uprzejmość, ale również i czujna obserwacja pasażerów podróżujących w kosmosie – w każdej chwili ktokolwiek z nich mógł popaść w kosmiczną depresję. W dodatku Markham Gray przypominał Bormannowi wizerunki Benjamina Franklina, które oglądał w podręcznikach historii, i w normalnych warunkach nie wahałby się poświęcić mu tej odrobiny czasu, potrzebnej na przedyskutowanie sprawy. Obecnie, miał jednak nadzieję, że ten stary cymbał nie będzie go zatrzymywał, kiedy śpieszył się aby zasiąść do gry z kapitanem Postem i stewardem.

— Właśnie zauważyłem jeden na ekranie — oświadczył spokojnie starszy dziennikarz.

Drugi pilot uśmiechnął się grzecznie.

— Musiał pan zobaczyć meteor, proszę pana. Tam nie ma…

Markham Gray zarumienił się.

— Panie poruczniku, nie jestem takim kompletnym nowicjuszem w kosmosie, jak mogłaby to sugerować nuta protekcjonalności w pańskim zachowaniu. Prawdę mówiąc, na każdy dzień spędzony przez pana w kosmosie, ja legitymuję się całymi miesiącami.

Bormann odparł uspokajająco.

— Nie to miałem na myśli, proszę pana. Po prostu pomylił się pan. Gdyby jakikolwiek statek znalazł się w rozsądnej odległości od nas, natychmiast rozdźwięczałyby się alarmy. Ale to jeszcze nie wszystko. Mamy pełne rejestry wszystkich lotów, nawet w znacznej odległości od naszej pozycji, i zapewniam pana, że…

Markham Gray wskazał palcem na lewy dolny narożnik ekranu.

— A więc, co to jest, panie poruczniku? — zapytał sarkastycznie.

Uśmiech ciągle gościł na twarzy pilota, kiedy odwracał się i podążał wzrokiem za palcem swego rozmówcy. W tej samej jednak chwili, uśmiech zniknął.

— A niech mnie diabli! — wyrwało mu się.

Zawirował na pięcie, a następnie pobiegł w stronę mostka, mamrocząc coś pod nosem.

Starszy mężczyzna parsknął z satysfakcją. Właściwie, to nie musiał być aż tak ostry dla tego młodego człowieka. Z niechęcią zmuszony był przyznać, że z wiekiem robi się coraz bardziej zgryźliwy. Wrócił do swego na wpół ukończonego artykułu. Naprawdę, powinien zabrać się za jego dokończenie, chociaż, na kosmos, nie miał materiału więcej niż na parę akapitów. Tryton był jałowym, pustynnym księżycem, a jeśli widziało się taki jeden – widziało się wszystkie.

Prawie już zapomniał o całej sprawie, kiedy dziesięć minut później statkowy system powszechnej komunikacji wyrzucił z siebie głośno:

— NA STANOWISKA BOJOWE! NA STANOWISKA BOJOWE! CAŁA ZAŁOGA NA STANOWISKA ALARMOWE. WSZYSCY PASAŻEROWIE PROSZENI SĄ O NATYCHMIASTOWE PRZEJŚCIE DO SWOICH KWATER. NA STANOWISKA BOJOWE!

Stanowiska bojowe?

Markham Gray w zasadzie zdawał sobie sprawę z tego, że teoretycznie każdy pojazd kosmiczny w Układzie Słonecznym w sytuacji alarmowej stawał się statkiem wojennym, ale było to kompletną fikcją, żeby…

Poderwał się na nogi, chrząkając z wysiłku i ignorując przez cały czas powtarzany komunikat, aby pasażerowie przeszli do swoich kwater, ruszył w drogę prosto na mostek, nie zwracając uwagi na histeryczne zamieszanie pośród pasażerów i członków załogi, biegających w tą i z powrotem po korytarzach statku.

Po dotarciu do serca statku, natychmiast stało się oczywiste, że nie była to żadna farsa, a przynajmniej nie celowa. Kapitan Roger Post, młody oficer dowodzący *Nueve Los Angeles*, porucznik Hans Bormann i dwóch marynarzy trzymających wachtę, byli bladzi jak ściana, wyraźnie wstrząśnięci i jak na razie zmieszani sytuacją, której nigdy by się nie spodziewali, że mogłaby się w ogóle pojawić. Obaj oficerowie stali przed ekranem wizyjnym na mostku, obserwując z szeroko otartymi oczyma sektor przestrzeni obejmujący drugi statek. Powiększyli go stukrotnie.

Po wejściu starszego dziennikarza, kapitan rzucił przez ramię do tyłu szybkie, zirytowane spojrzenie i rozpoczął jakąś ostrą reprymendę, ale urwał w pół słowa. Zamiast tego zapytał:

— Panie Gray, kiedy pan po raz pierwszy zauważył statek obcych?

— Obcych?

— Tak, obcych. Kiedy po raz pierwszy pan go zauważył? Ewidentnie śledzi nas, aby zlokalizować naszą ojczystą planetę. — W głosie kapitana słychać było ekstremalne napięcie.

Markham Gray poczuł zimne palce przesuwające mu się w górę kręgosłupa.

— Chwileczkę, chwileczkę. Musiałem go zauważyć już parę godzin temu, panie kapitanie. Ale… statek obcych!… Ja… — Rzucił okiem na powiększony pojazd na ekranie. — Czy pan jest pewien, panie kapitanie? Wydaje się bardzo podobny do naszych. Powiedziałbym, że…

Kapitan odwrócił z powrotem głowę, żeby znowu popatrzeć na ekran, tak jakby sam się chciał upewnić, co wcześniej widział.

— W pobliżu nas nie ma żadnych innych statków — wymruczał, jakby sam do siebie. — Poza tym, o ile wiem, a musiałbym to wiedzieć, nie ma żadnego ziemskiego statku, który wyglądałby tak jak ten. Muszę przyznać, że są pewne uderzające podobieństwa, do naszych statków zwiadowczych klasy St. Louis, ale te dysze na dziobie – nic podobnego do nich nie istnieje, ani w rzeczywistości, ani na deskach kreślarskich.

Jego głos nabrał mocy, w próbie osiągnięcia poziomu stanowczości.

— Poruczniku Bormann, proszę przygotować się do ataku.

Nagle zaryczał telewiz.

— Wzywam *Nueve Los Angeles*. Wzywam *Nueve Los Angeles*. Nie obawiajcie się. Nie mamy wrogich zamiarów.

Na mostku ziemskiego statku zapanowała cisza. Głucha cisza. Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim pozbierali się choćby na tyle, aby popatrzeć po sobie nawzajem.

Hans Borman w końcu sapnął z niedowierzaniem.

— Jakim cudem mogą znać nazwę statku? Jakim cudem mogą znać nasz język?

Twarz kapitana była biała i nieruchoma. Dodał jeszcze tak cicho, że ledwie mogli to dosłyszeć:

— To nie wszystko. Nasze systemy alarmowe nadal nie zareagowały, a systemy oceny odległości nie działają. Nie wiemy, jak duży mają statek, ani jak daleko są od nas. To coś niesłychanego… Jakimś sposobem kompletnie unieszkodliwili nasze przyrządy.

Po przybyciu do portu kosmicznego New Albuquerque, Markham Gray śledził nadal tę sprawę, z zainteresowaniem większym niż przeciętne. A nie można powiedzieć, żeby to przeciętne zainteresowanie nie było duże.

W końcu ludzkość nawiązała kontakt z inną inteligencją. Obawiała się tego, była tym straszona przez całe dekady; teraz wreszcie to nastąpiło. Inna inteligentna forma życia podbiła kosmos i, jak się wydawało, posiadała wyposażenie, przynajmniej pod pewnymi względami, lepsze od ludzkości.

Rozprawa przed sądem wojennym, kapitana Rogera Posta, była krótka i bezlitosna. Prasa i systemy telewizu otrzymały wolny dostęp do całego procesu, i media relacjonowały go bardzo wyczerpująco, częściowo po to, aby uzmysłowić opinii publicznej powagę sytuacji, a częściowo aby wysłać ostrzeżenie innym pilotom kosmicznym.

Post stał przed podwyższoną trybuną, na której zasiadał SupSpaceCom Mitchell i czterech innych wysokich rangą oficerów, słuchając odczytywanych zarzutów – zaniechania ataku na pojazd obcych, zniszczenia go, aby w ten sposób uniemożliwić obcym – kimkolwiek by oni nie byli – powrotu na swoją ojczystą planetę i doniesienia o istnieniu ludzkości w galaktyce.

Markham Gray, podobnie jak tysiące innych ludzi, siedział na brzegu krzesła w salonie swego niewielkiego podmiejskiego domku, i uważnie śledził proces na telewizie.

SupSpaceCom Mitchell był twardy i bezwzględny. Oznajmił, zgryźliwie:

— Rogerze Post, jako kapitan *Nueve Los Angeles*, dlaczego nie zniszczył pan obcego pojazdu, albo jeżeli uważał go pan za zbyt silnego przeciwnika dla pańskiego statku, dlaczego nie odleciał pan w kosmos, odciągając go od swojej ojczystej planety?

Post odpowiedział z wahaniem.

— Nie wydaje mi się aby to było konieczne, panie SupSpaceComie. Jego nastawienie wobec nas było… no cóż, pokojowe. Odbyło się to tak, jakby dwa statki, które przypadkowo natknęły się na siebie, oddały sobie staromodny salut flagami i oddaliły się, każdy w swoją stronę. Byli nawet w stanie przesłać nam wiadomość przez telewiz.

SupSpaceCom warknął ostro:

— To był bez wątpienia przypadek telepatii. Obcy mieli jakieś wyposażenie, pozwalające im narzucić myśli ludzkiemu mózgowi. Wydawało wam się, że użyty został telewiz; w rzeczywistości obcy nie mówili naszym językiem, oni po prostu przesłali myśli do waszych umysłów.

Markham Gray oglądając i słuchając na swoim odbiorniku, pokręcił z niezadowoleniem głową. Jak zwykle umysły wojskowych działały jednotorowo i trudno przyjmowały nowe fakty. Idiotyzm pomysłu, aby Post odleciał w kosmos próbując oszukać pojazd obcych co do położenia swojej ojczystej planety, był wręcz ewidentny. Całe to wydarzenie miało miejsce w obrębie układu gwiezdnego. To oczywiste, że obcy musieli wiedzieć iż domem ludzkości była jedna z dziewięciu głównych planet Słońca. Stwierdzenie, która z nich – nie powinno być zbyt trudnym zadaniem.

Roger Post odezwał się z wahaniem:

— A więc, przyjęto, że statek obcych nie miał przyjaznych zamiarów?

SupSpaceCom Mitchell okazał niesmak, niecierpliwym machnięciem dłonią.

— Każdy obcy jest potencjalnym wrogiem, Post. To powinno być dla pana elementarne. A potencjalny wróg, jest wrogiem faktycznym. Nawet jeśli dzisiaj ci obcy mogliby się wydawać przyjaźnie nastawieni, skąd mamy wiedzieć, jak to się ułoży w przyszłości – być może nawet w odległej przyszłości? Nie może być przyjaźni między obcymi. Nie możemy sobie pozwolić na posiadanie sąsiadów; nie możemy sobie pozwolić na to, aby otoczyli nas wrogowie.

— Ani nawet przyjaciele? — delikatnie zapytał kapitan Post.

Mitchell spojrzał groźnie na swego podwładnego.

— Do tego to wszystko się sprowadza, panie kapitanie; i niech pan sobie zapamięta, że oni czują to tak samo. Muszą! Muszą nas odnaleźć i doszczętnie zniszczyć. I to tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Dzięki zbiegowi okoliczności, a częściowo poprzez pańskie zaniedbania, prawdopodobnie wygrali pierwszą rundę. On znają naszą lokalizację; my nie znamy ich.

Najwyższy dowódca ziemskich sił kosmicznych, zrezygnował z dalszego drążenia tego tematu.

— Wróćmy jeszcze raz do sedna sprawy. Kiedy otrzymaliście wiadomość telepatyczną – czy cokolwiek to było – jaka była wasza reakcja? Czy wiadomość ta wydała się wam przyjazna, dominująca, czy jakaś ona?

Roger Post przez chwilę stał w milczeniu. W końcu odpowiedział:

— Panie SupSpaceComie, ciągle wydaje mi się, że to był raczej telewiz, niż łączność telepatyczna, ale… ton głosu sprawił na mnie wrażenie żalu.

— Żalu! — wybuchnął Mitchell.

Kapitan był zdenerwowany, ale pewny.

— Tak, panie SupSpaceComie. Wyraźnie odniosłem wrażenie, że istota, która wysłała do nas wiadomość, współczuła nam.

Twarz SupSpaceComa zrobiła się czerwona z oburzenia.

Minęły trzy lata, zanim zauważono jakikolwiek inny statek obcych. Trzy lata pełne pośpiechu, bieganiny i trudów, w czasie których wszystkie zasoby Układu Słonecznego, zostały poświęcone na budowę i uzbrojenie ogromnej floty kosmicznej, oraz rozwój sił obrony kosmicznej. Wojny totalne Dwudziestego Wieku bledły w porównaniu z wszechogarniającym charakterem wysiłków poczynionych w celu przygotowania się do tego konfliktu.

Drugie spotkanie z obcym statkiem było podobne do pierwszego. Tym razem *Pendleton*, czteroosobowy statek zwiadowczy, wracający do bazy na Wenus, po patrolu w kierunku Syriusza, utrzymywał intruza na swoim ekranie widokowym, przez pełne cztery minuty. I ponownie nie można było dokonać żadnych oszacowań odległości obcego statku, ani jego rozmiarów. Wszystkie przyrządy przeznaczone do tego rodzaju detekcji, wydawały się nie być w stanie właściwie funkcjonować.

I znowu obcy wysłali wiadomość – z pozoru, przynajmniej, przez telewiz.

— Nie stanowimy dla was zagrożenia, ludzie! Szukajcie swego przeznaczenia w pokoju. Wszystkie wasze kłopoty pochodzą z wewnątrz.

Pendleton próbowałby śledzić dziwny pojazd, ale jego zbiorniki paliwa były niemalże puste, i musiał kontynuować lot na Wenus. Raport jego kapitana wywołał sensację.

W pewnym sensie, cała ta sprawa miała dla Markhama Graya dobre skutki. Jako dziennikarz nie związany z nikim na stałe, miał znaczną przewagę. Po pierwsze, był lepiej niż inni poinformowany na temat podróży kosmicznych i problemów z nimi związanych, po drugie dzięki temu był obecny przy – a dokładniej mówiąc sam je wywołał – pierwszym spotkaniu z obcymi.

Teraz jego artykuły były nieustannie rozchwytywane zarówno przez magazyny, jak i dodatki do gazet: wydawcy wręcz bili się o każdy skrawek materiału, schodzący z jego woko-drukarki. Był tylko jeden zarzut odnośnie jego tekstów – nie były dostatecznie alarmistyczne, wystarczająco sensacyjne. Ludzkość została wtrącona w stan zbiorowej histerii, emocjonalnego szaleństwa, i ludzkość uwielbiała to.

A właśnie co do tej kwestii, Markham Gray, odmawiał pójścia ze wszystkimi. Zgadzał się z biednym kapitanem Postem, obecnie odsiadującym wyrok dożywocia w marsjańskich obozach więziennych; nie było żadnych oznak wrogości ze strony obcego pojazdu. To ludzie przygotowywali się do wojny – a Gray nie znał żadnego okresu historii, w którym przygotowania do wojny, nie znalazłyby w końcu kulminacji w postaci takowej.

Nie powinno więc budzić specjalnego zdziwienia, że to właśnie jego obcy wybrali do nawiązania kontaktu.

Stało się to we wczesnych godzinach porannych. Obudził go, nie bez dreszczu strachu, dźwięk jego własnego odbiornika telewizu. Zostawił go wyłączonego, był tego pewien. Potrząsnął głową, aby oczyścić umysł, z niecierpliwością przyjmując fakt, że wraz z postępem lat coraz więcej czasu zabierało mu dojście do siebie po obudzeniu.

Nie zrozumiał wiadomości. Przez krótką chwilę myślał, że usłyszany dźwięk mu się śnił.

A potem telewiz odezwał się ponownie. Ekran był pusty. Urządzenie oznajmiło:

— Czy już się pan obudził, panie Gray?

Wpatrywał się w odbiornik, nie rozumiejąc co się dzieje.

Odparł:

— Nie… nie rozumiem.

Wtedy, nagle wszystko zrozumiał, tak jakby w chwili czystego natchnienia. Skąd oni znali nasz język. Dlaczego ich statki wyglądały jak terrańskie. Dlaczego byli w stanie „zablokować” działanie przyrządów ziemskich statków.

Zapytał obronnym tonem:

— Dlaczego tu jesteście?

— Znane nam są pańskie artykuły. Tylko pan, panie Gray, wydaje się przynajmniej szukać porozumienia. Zanim odlecimy, uznaliśmy, że naszym obowiązkiem jest wyjaśnić naszą obecność i jej cele – to jest, przynajmniej częściowo.

— Tak — stwierdził. Potem, próbując sprawdzić wnioski, do których przed chwilą doszedł, dodał jeszcze: — Pochodzicie z Układu Słonecznego – opuszczacie swój dom, dla nowego?

Nastąpiła długa cisza.

W końcu:

— Tak jak mówiliśmy, mieliśmy zamiar częściowo wyjaśnić naszą obecność i jej cele, ale ewidentnie wie pan więcej, niż myśleliśmy. Czy mógłby pan ujawnić zakres swojej wiedzy?

Gray podniósł się z łóżka i założył szlafrok; częściowo dlatego, że było mu chłodno, częściowo aby dać sobie czas na zastanowienie się nad odpowiedzią. Może nie powinien tego mówić. Był sam w domu; nic nie wiedział o ich zamiarach względem swojej osoby.

Ale teraz było już za późno.

— Nie do końca. Nie jestem pewien, na czym stoimy, ale sprawy szybko powinny znacznie się wyjaśnić. Przede wszystkim, wasze statki

kosmiczne są bardzo małe. Prawdopodobnie ważą poniżej dziesięciu funtów.

— Około czterech, panie Gray.

— Co wyjaśnia dlaczego nasze przyrządy nie potrafiły ich zaobserwować. Same przyrządy nie zostały uszkodzone, po prostu wasze statki są zbyt małe, aby je zarejestrować. I tu popełniliśmy nasz pierwszy błąd. Założyliśmy, bez żadnych sensownych powodów, że jesteście mniej więcej naszych rozmiarów. Byliśmy skłonni wyobrażać was sobie jako nie-ludzi, posiadających kończyny, organy, a nawet zmysły odmienne od naszych. Ale wyobrażaliśmy sobie tych „obcych", jak was nazwaliśmy, jako w przybliżeniu naszych rozmiarów. W rzeczywistości, musicie być bardzo mali.

— Bardzo mali, panie Gray. Chociaż, oczywiście, nam się wydaje, że to wy jesteście bardzo wielcy.

Zaczął nabierać coraz większej pewności siebie; kiedy już się porządnie obudził, słuchanie słów dochodzących ze zwykłego, domowego odbiornika telewizu, nie wydawało się już takie dziwne.

— Naszym drugim błędem było szukanie was po całym kosmosie.

Ponownie nastąpiła chwila wahania, a następnie:

— A dlaczego to miałby być błąd, panie Gray?

Gray zwilżył wargi. Być może podpisywał wyrok śmierci na siebie, ale teraz nie mógł się już zatrzymać.

— Ponieważ nie jesteście prawdziwymi „obcymi", lecz pochodzicie z samej Ziemi. Wskazuje na to kilka faktów. Na przykład, wasze statki są szczegółowymi modelami ziemskich statków, czy też raczej ludzkich statków. Ewidentnie musieliście je skopiować. Poza tym, zbyt łatwo potrafiliście komunikować się z ludźmi. Ktoś zupełnie dla nas obcy, miałby z tym znacznie więcej kłopotu. Nasz sposób życia, kierunki naszego myślenia, nie były wam obce.

— Panie Gray, odkrył pan tajemnicę, która była utrzymywana przez wiele wieków.

Teraz, stało się to znacznie łatwiejsze; w słowach jego rozmówcy jakoś nie wyczuwało się groźby. Gray kontynuował:

— Najtrudniejszą dla mnie rzeczą, było zrozumieć, dlaczego to było utrzymywane w sekrecie. Ewidentnie jesteście niewielkimi istotami żywymi z Ziemi, prawdopodobnie owadami, które rozwinęły się intelektualnie równie dalece przekraczając inne gatunki owadów, jak ludzie przekroczyli inne ssaki. Ale dlaczego utrzymywaliście to w tajemnicy przed ludźmi?

— Sam pan powinien sobie odpowiedzieć na to pytanie, panie Gray. W trakcie naszego rozwoju, byliśmy przerażeni obecnością na naszej planecie innego żywego gatunku o wysoko rozwiniętej inteligencji. Przecież nawet istoty z waszego własnego gatunku nie są bezpieczne przed waszą żądzą krwi. Niżej rozwinięte ssaki na Ziemi, albo zostały niewolone przez ludzi – albo były mordowane, aż do kompletnego wytępienia. Nawet wasi właśni współbracia w ostatnich czasach byli wyrzynani; ludzie zabijali innych ludzi masowo. Czy wini pan nas, że woleliśmy utrzymać nasze istnienie w tajemnicy? Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w chwili kiedy ludzie odkryją, iż na Ziemi istnieją inne istoty inteligentne, zaczną tworzyć plany,

aby nas zdominować, albo, co nawet bardziej prawdopodobne, zniszczyć nas. Naszą jedyną szansą było znaleźć sobie jakieś miejsce schronienia gdzieś poza Ziemią. Dlatego właśnie zaczęliśmy przeszukiwać inne gwiazdy, szukając planety podobnej do tej, która byłaby zdatna dla naszego gatunku.

— Gdybyśmy próbowali was zniszczyć, moglibyście się bronić — zauważył Gray, czując skrępowanie.

Kolejne słowa były zimne i pogardliwe.

— Nie jesteśmy radosnymi zabójcami, jak ludzie. Nie ma w nas żądzy niszczenia.

Gray skrzywił się i zmienił temat.

— Znaleźliście nową planetę dla siebie?

— W końcu. Właśnie mamy rozpocząć transport naszej ludności do nowego świata. Po raz pierwszy, od kiedy nasi przodkowie stali się świadomi przerażającej obecności człowieka na Ziemi, czujemy że możemy bezpiecznie spoglądać w przyszłość.

Markham Gray milczał przez dłuższy czas.

— Nadal jestem zdumiony, że udało się wam tak dalece rozwinąć, bez naszej wiedzy — stwierdził w końcu.

W myśli, która padła w odpowiedzi na tę kwestię, pojawiła się nuta rozbawienia.

— Jesteśmy bardzo mali, panie Gray. A zawsze nie szczędziliśmy jak najbardziej starannych wysiłków, aby trzymać się z dala od ludzkich oczu. Najbardziej jednak zyskaliśmy, dzięki naszym zdolnościom szpiegowskim; niewiele dzieje się w ludzkim świecie, o czym byśmy nie wiedzieli. Nasz rozwój był w znacznym stopniu wspierany przez możliwości wykorzystania wiedzy naukowej, wcześniej stworzonej przez ludzi. Zauważył pan przecież, na przykład, jak bardzo nasze statki są podobne do waszych.

Gray pokiwał głową samemu sobie.

— Jestem również pod wrażeniem, sposobu w jaki zbudowaliście jakieś urządzenie mechaniczne do powielania ludzkiej mowy. To wymagało oryginalnych badań.

— W żaden sposób, ani ludzie ani my, nie musimy się już dłużej obawiać przyszłości. Uniknęliśmy niebezpieczeństwa, które zawisło nad naszymi głowami, i wiecie już, że nie jesteśmy żadnymi obcymi wrogami z kosmosu, którzy mogliby wam zagrażać. Życzymy wam dobrze, ludzie; być może, w przyszłości zobaczymy zmiany w waszej naturze. Istnieje w nas przyjazna nadzieja, że przez pana, panie Gray, uda nam się skontaktować z całą ludzkością.

Starszy dziennikarz powiedział cicho:

— Doceniam waszą refleksję i mam nadzieję, że macie rację. Powodzenia dla was, i dla waszej nowej planety.

— Dziękujemy, panie Gray i do widzenia.

Odbiornik nagle ponownie zamilkł.

Markham Gray stał przed zebranymi członkami Wojskowej Rady Układu Słonecznego. Przekazał swoją opowieść, bez żadnych przerw, najpotężniejszemu ciału na Ziemi. Słuchali go w zupełnej ciszy.

Kiedy skończył, czekał na ich pytania. Pierwsze padło z ust SupSpaceComa Mitchella. Oznajmił on z namysłem:

— A więc, uważa pan, że pańskie słowa są zasadniczo prawdą, panie Gray?

— Uważam, że byli oni całkowicie szczerzy, wasza ekscelencjo — odparł z przekonaniem dziennikarz.

— A więc, oni mają zamiar opuścić Ziemię i przenieść się na jakąś inną planetę, w innym układzie gwiezdnym?

— Taki jest ich plan.

SupSpaceCom rozmyślał na głos.

— Kiedy wystartują en masse, będziemy w stanie ich namierzyć. Ich pojedyncze statki są tak małe, że mogą ujść niepostrzeżenie, ale masowy start damy radę wykryć. Nasze krążowniki mogą podążać za nimi przez cały czas, niszcząc ich w trakcie lotu. Jeśli nawet jakiś statek przedrze się na ich nową planetę, przynajmniej będziemy wiedzieć gdzie oni są i z czasem ich unicestwić.

Przewodniczący Rady dodał w zamyśleniu:

— Całkiem dobry plan, Mitchell. A na wczesnych etapach ich lotu powinno nam się udać przechwycić niektóre z ich statków nietkniętych. Zaraz jak tylko zorientujemy się, do którego gatunku owadów należą, nasi bakteriolodzy powinni być w stanie opracować metodę wyeliminowania wszystkich, którzy mogli jeszcze pozostać na Ziemi.

Twarz Markhama Graya pobladła ze zgrozy.

— Ale, dlaczego? — wybuchnął. — Dlaczego nie zostawić ich w spokoju? Przez całe wieki pragnęli tylko uciec od nas, żeby mieć swoją planetę wyłącznie dla siebie.

SupSpaceCom Mitchell popatrzył na niego tolerancyjnie.

— Zdaje się, że bardzo się pan przejął, panie Gray. Kiedy już umocnią się na swojej nowej planecie, nie mamy pojęcia w jakim tempie mogą zacząć się rozwijać i jak szybko mogą stać się zagrożeniem. Nawet jeśli dzisiaj mają pokojowe zamiary, są potencjalnymi wrogami na przyszłość. A każdy potencjalny wróg jest wrogiem, którego należy zniszczyć.

Gray poczuł, jak wzbierają w nim mdłości.

— Ale… ale taka polityka… Co się stanie, kiedy w końcu ludzkość napotka na swych granicach gatunek bardziej zaawansowany niż ona – inteligencję na tyle silną, aby raczej zniszczyć, niż zostać zniszczoną?

Teraz tolerancja zupełnie zniknęła. SupSpaceCom powiedział zimno:

— Niech pan nie będzie takim pesymistycznym defetystą, Gray.

Zwrócił się do podległych sobie admirałów i generałów:

— Panowie, proszę poczynić wszystkie przygotowania do ataku.

KONIEC